

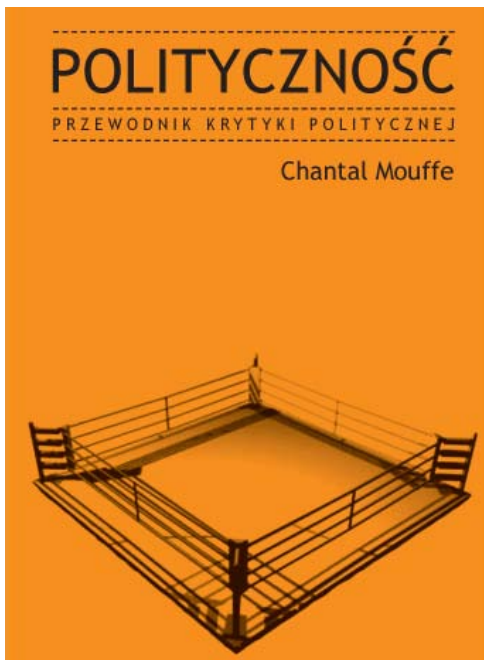
46

portret online

recenzje

Andrzej Poterała

Agoniczny świat Chantal Mouffe



Nakreślmy pokrótce sytuację, w której się znaleźliśmy: Świat staje się jedną globalną wioską, którą rządzą te same prawa i mechanizmy. Na dobre zwyciężyła gospodarka wolnorynkowa oraz demokracja, jako jedyna alternatywa dla systemów totalitarnych. Człowiek wyrwał się już spod wpływów tradycyjnych więzi grupowych, a w zamian dostał prawo samostanowienia, wolność słowa i wszelkie atrybuty liberalnego świata ponowoczesności. Tradycyjne pojmowanie społeczeństwa jako antagonistycznego organizmu odmiennych dążeń zastąpił pluralizm światopoglądów i stylów życia, które koegzystują dzięki wypracowanemu konsensusowi

współczesnych. Tradycyjny podział na prawicę i lewicę traci zatem rację bytu, tak jak sama polityka...

Właśnie z takim opisem rzeczywistości walczy Chantal Mouffe. Zadaje ona kłam pewnym powszechnikom, takim jak przewyższenie we współczesnym porządku społecznym zjawiska hegemonii, zanegowania konstytutywnego charakteru antagonizmu, czy bagatelizowaniu zjawiska suwerenności „państwa” na kosmopolitycznej arenie globu. Zauważa także, że teoretycy zjawisk społecznych zbyt pochopnie oznajmili „śmierć” polityki i początek porządku postpolitycznego.

Walcząc o „demokratyzację demokracji”, przeciwstawia swoje stanowisko wszelkim koncepcjom liberalnym, ale i lewicowym, w których zakłada się często, że możliwe jest pełne wyswobodzenie się jednostki ze sztywnych ram społeczeństwa tradycyjnego. Mouffe, choć jest uważana za jedną z czołowych myślicielek współczesnych ruchów lewicowych, nie pozostawia suchej nitki na neolewicowych koncepcjach (m.in. tzw. „trzeciej drogi” reprezentowanej przez Giddensa). Beckowi, czy wspomnianemu już Giddensowi, zarzuca wyeliminowanie z dyskursu polityki pojęcia „przeciwnika”, które sama autorka uważa za kluczowe dla istnienia demokracji.

Taktyka, jaką przyjęła belgijska filozofka pisząc „Polityczność”, jest dość ryzykowna. Opisując koncepcje z którymi polemizuje, przedstawia je na tyle rzetelnie i bez zbędnego ostracyzmu, że odbiorca zaczyna utożsamiać się powoli z przedstawianymi teoriami. W lapidarny sposób nakreśla główną oś każdej z teorii pozostając przy tym nader obiektywną; nie próbuje przy tym na siłę zdyskredytować oponentów. Znajduje jedynie „słabe punkty” omawianych koncepcji i natychmiast wskazuje dlań alternatywę we własnej koncepcji. Główne założenia wizji Mouffe, to właśnie to, co

pomijają jej oponenti. Hasła głoszone przez neoliberalów czy pseudolewicowów to głównie: „składowe powszechnej antypolitycznej wizji, która nie chce uznać antagonistycznego wymiaru konstytutywnego dla tego, co ‘polityczne’. Ich celem jest ustanowienie świata ‘poza lewicą i prawicą’, ‘poza hegemonią’, ‘poza suwerennością’ i ‘poza antagonizmem’...” (s. 17). Zarzuca przy tym twórcom tych teorii brak zrozumienia istotnych mechanizmów rządzących demokracją, dynamiki kształtowania tożsamości politycznych. Mouffe ostrzega: doprowadzi to nas do zaostrenia antagonizmów, różnic, które wedle jej oponentów będą zanikały. Tu uwypukła się kolejny element koncepcji autorki książki. Antagonizmy są czymś naturalnym i koniecznym dla prawidłowego artykułowania potrzeb różnych wizji życia. Należy jednak stworzyć przestrzeń, pole walki, na którym zostaną określone wszystkie potrzeby, po to, by dochodziło do „wyładowań” frustracji. Aby pogodzić nieredukowalną trwałość antagonistycznego wymiaru konfliktu z możliwością jej „poskromienia”, wprowadza termin „agonizm”, który staje się osią jej wywodu. Nie jest to jednak termin nowy, sama Chantal Mouffe używa go między innymi w swojej wcześniejszej publikacji „Paradoksy demokracji”, a i inni teoretycy tworzą „agoniczne koncepcje”. Do takich myślicieli należą Williama Conoly, Bonning Honig czy James Tully. Jednak wszyscy oni pojmują polityczność jako przestrzeń wolności i dyskusji, zaś Mouffe widzi w niej przestrzeń konfliktu i antagonizmu.

Konstatacja idei lewicowych nie jest jednak głównym punktem ciężkości omawianej tu książki. Mouffe poświęca w niej tyle miejsca Beckowi, Giddensowi czy innym po to, by jej stanowisko nie „rozmyło się” w gąszczu innych znajdujących się po tej samej „stronie barykady”. Główna oś krytyki nakierowana jest przede wszystkim na neoliberalne koncepcje rzeczywistości. To przed nimi broni nas autorka.

Także i w tej „walce” chwyta za niekonwencjonalną broń. Podpiera się bowiem, pozostając wciąż „po lewej stronie sceny”, koncepcją prawicowego teoretyka, Carla Schmitta: „Z powodu panującego w liberalnym dyskursie politycznym racjonalizmu, istotne wskazówki do zrozumienia polityczności znajdowałam często u konserwatystów. Potrafią oni wstrząsnąć naszymi dogmatami lepiej niż liberalni apologety” (s. 19).

Dokąd doprowadzi nas ten nietypowy mezalians prawicy i lewicy? Czy w dobie triumfu liberalnych koncepcji bliżej do siebie skrajnościom? Okazuje się, że spoglądając z prawa i z lewa na środek, unaocznia się on nam w całej okazałości, a raczej ze wszystkimi swoimi mankamentami. Jakie to musi być zaskoczenie dla liberałów, którzy ogłosili śmierć lewicy i prawicy, że Ci których pożegnano, powstają „z grobu” by przypuścić atak łącząc nierzadko swe siły.

Chantal Mouffe,

Polityczność. Przewodnik Krytyki Politycznej,

wstęp: Maciej Gdula,

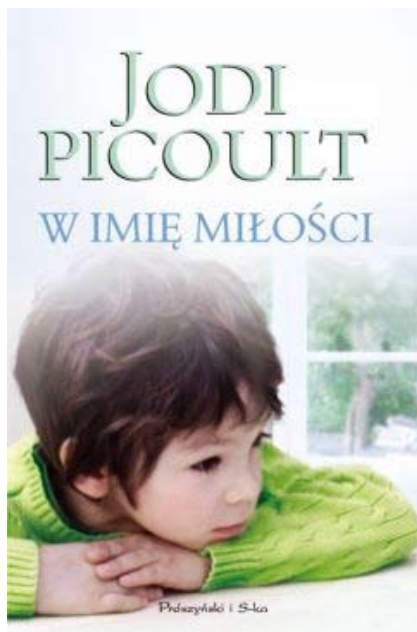
tłum. Joanna Erbel,

Wydawnictwo Krytyki Politycznej,

Warszawa 2008.

Anna Rau

Zabić księdza



Jaka jest cena za to, że ktoś zgwałcił dziecko? Czy TYLKO śmierć?

A jaka jest cena za zabicie niewinnego człowieka?

Dziecko miało tylko 5 lat. Niewinny człowiek to ksiądz oskarżony o gwałt na nieletnim. Rzeczywisty gwałciiciel świetnie się ma na wolności. Morderca to matka chłopca, prokurator, niekarana. Działała z premedytacją. Oto zawiązanie wątków w powieści „W imię miłości” Jodi Picoult. I po tym literackim wybuchu wulkanu, tempo akcji wzrasta...

Nina jest świetnym prokuratorem (specjalistką od „spraw

dziecięcych”), nie nadopiekuńczą, ale zdrowo troskliwą, matką pięcioletniego Nathaniela (trochę pośpieszną – przez tempo życia oraz uwielbianą pracę, w której rzeczywiście się realizuje), a także dobrą, wiernie kochaną przez męża Caleba, żoną. Właśnie w tej kolejności. Żadna z owych okoliczności nie miała wpływu na pojawienie się kryzysu w jej życiu. Potwierdziłby to też Caleb, świetny budowlaniec, odpowiedzialny mąż i ojciec. O zdanie Nathaniela w tej kwestii w ogóle nie trzeba by pytać: to zdrowe, świetnie rozwinięte, stanowcze i ciekawe świata dziecko, namiętnie kochające swoich rodziców. Oraz wujka Petera. Małżeństwo Niny i Caleba bowiem jest trochę nietypowe: rzadko kiedy zdarza się, aby w domu bywał najbliższy przyjaciel z dzieciństwa żony, beznadziejnie w niej zakochany – a jej małżonek o tym wiedział i to akceptował. Ale Caleb taki był: ufał żonie ponad wszystko, a Petera nawet lubił, więc traktował go trochę jak darmowego terapeutę Niny, a trochę jak niewygodnego szwagra, gdyż rzeczywiście byli jak rodzeństwo. I tak trwała taka przyziemna amerykańska sielanka przez kilka lat, a poza tym, że Nathaniel miał lekkie kłopoty z akceptacją przedszkola, a Peter ze spokojną postawą wobec braku możliwości posiadania na wyłączność Niny, nic nie mąciło ich pożycia. Do momentu, gdy Nathaniel zaniemówił. W toku prób leczenia wyszło na jaw, zupełnie przypadkowo (ku podwójnej rozpacz Niny, przypomnijmy – SPECJALISTKI od „spraw dziecięcych” i DOŚWIADCZONEGO prokuratora), że ktoś seksualnie wykorzystał chłopca. Jak wydobyć prawdę z dziecka, które zaniemówiło? Jak zrobić to powtórnie, przed sądem, i nie zmiążyć jego psychiki do końca? I najważniejsze pytanie: jak doprowadzić do oskarżenia, opartego wszak jedynie na kruchym świadectwie dziecka?

W powieści Picoult nie ma nawet śladu po jakimkolwiek

tonie oskarżycielskim wobec kogokolwiek. Nie ocenia się nikogo: pedofila, zabieganej matki, niepotrzebnego zabójstwa, zdrady małżeńskiej, czy wreszcie zagubienia dorosłych bardzo nie w czas wobec naglącej tragedii dziecka. Podczas lektury rodzi się za to wiele pytań: „Jak bym postąpił w sytuacji, gdyby w taki sposób skrzywdzono mojego najbliższego? Co zrobiłbym, gdyby mój bliski kogoś zabił? Jaki jest mój stosunek do gwałcicieli? Czy umiałbym *zrobić cokolwiek*, gdybym dowiedział się o jakimś – w swoim otoczeniu – wykorzystaniu seksualnym?”. Jednocześnie nie można nawet założyć, iż czytelnik po ukończeniu książki uzyska na nie odpowiedź – sprawa jest zbyt poważna i może dotyczyć każdego.

Temat pedofilii jest ostatnio, niestety, bardzo na czasie. Wszelkie publikacje w zakresie tej tematyki, jeśli tylko nie oscylują w kierunku obsceny czy taniej sensacji, są bardzo potrzebne. „W imię miłości” Jodi Picoult jest więc bardzo potrzebne. A do tego wartko i głęboko napisane.

P.S. Też zabiłabym drania.

Jodi Picoult,

W imię miłości,

tłum. Katarzyna Kasterka,

Wyd. Prószyński i S-ka,

Warszawa 2008.

Nina Olszewska

Prawie jak IPN...

Wielka próba odkłamania przeszłości



Czarne-białe, prawda-falsz, dobro-zło. Próba postrzegania świata w sposób tak zdecydowany, tak jednoznaczny, musi się skończyć chorobą psychiczną. Górale z dowcipów rozróżniają trzy rodzaje prawdy i jest to jakiś sposób dbałości o higienę umysłu. Gdyby jednak zaryzykować i spróbować posegregować wszystkie sprawy świata na kłamstwa i prawdę, to co wtedy?

Tego rodzaju próbę podjęła Serena, jedna z bohaterek powieści „Kłamstwa” Enrique de Hériz. Postanowiła ona uporządkować historię rodziny, oddzielić fakty od mitów, znaleźć potwierdzenie każdej legendy. Pozornie wydawać by się mogło, że jest to zadanie dosyć absurdalne, o

znikomej wartości, niegroźne wariactwo. Prawda jest jednak taka, że w rodzinie Sereny rodowe opowieści zajmują szczególne miejsce. Dzieje nieznanego nikomu dziadka Simona budują kręgosłup moralny wszystkich potomków, jego postawa w chwilach różnych zawirowań losu stanowi kanwę zachowań następców, wyznacza ich kodeks etyczny, kształtuje poglądy. Jednocześnie jest to tylko legenda, opowiadka, której sens i znaczenie wypacza interpretacja każdego ze słuchaczy, a kolejne opowiadanie dodaje, odejmuje i przekształca wybrane fragmenty. Z tym właśnie podejmuje walkę Serena: chce wiedzieć, co zdarzyło się naprawdę, a co jest efektem fantazji jej ojca-gawędziarza.

Mozolna wędrówka ścieżkami historii to domena nie tylko Sereny. Jej matka, znana antropolożka, zgłębia przeszłość i jej wpływ na teraźniejszość, ale bardziej interesują ją te zagadnienia w odniesieniu do Indian, niż własnej rodziny. Jej fascynacja śmiercią i zwyczajami pogrzebowymi nabiera praktycznego wymiaru, gdy w wyniku przypadku zostaje uznana za zmarłą. W pełni świadoma zaistniałej pomyłki, w mistycznym niemal stanie bycia-niebycia, ukryta w gwatemalskiej puszczy, ma szansę dokonać rozrachunku ze sobą. Jej opowieść o życiu, śmierci, rodzinie, jej nawiązania do rodzinnych legend, zaczynają stanowić głos kontrastowy do historii snutej przez jej córkę. Narracyjny dwugłos zastosowany w powieści, strona po stronie wprowadza w skomplikowane losy rodziny, ujawnia niedomówienia, prostuje mity, ujawnia kłamstwa.

Wzajemna, niezależna spowiedź obu kobiet, spleciona ze scenami z życia rodzinnego stanowi spójną, wciągającą historię, pełną barwnych postaci, skłaniającą czytelnika do rozważań i samodzielnego snucia wniosków. Analiza

opowieści ciągnących się za tą rodziną odsłania kolejne dramaty, rozterki, lęki, które na przestrzeni lat najłatwiej było ukryć w kłamstwach i kłamstewkach, podstępnych, niszczących niedomówieniach, które z czasem zaczęły żyć własnym życiem.

„Kłamstwa” to zgrabnie zbudowana opowieść o poszukiwaniach prawdy i „prawdziwości”, to historia szukania siebie i swojego miejsca, zapis próby wyjaśnienia, skąd jestem i dlaczego właśnie tak, a nie inaczej? Bezdyskusyjnym faktem jest, że przeszłość kształtuje teraźniejszość, a w wypadku rodzin: tradycja, korzenie, mają wpływ na potomnych. Oprócz dywagacji na temat opozycji prawda-kłamstwo, powieść to ciekawa historia pewnej rodziny, ich problemów, potrzeby bliskości, analiza więzi, która przejawia się czasem niespodziewanie w drobnych rzeczach. Wzruszający, choć niebanalny obraz zażyłości między rodzeństwem, trudnych kontaktów z rodzicami, podsumowanie pewnego specyficznego małżeństwa.

Ciepła, niebanalna, bardzo ludzka książka, którą warto przeczytać z całą pewnością, chociażby po to, żeby sprawdzić, jak sprawnie mężczyzna potrafi spleść opowieść snutą przez dwie kobiety, jak delikatnie potrafi opisywać świat ich emocji i jak subtelnie wyłapywać tony w tym dwugłosie.

Enrique de Hériz,

Kłamstwa,

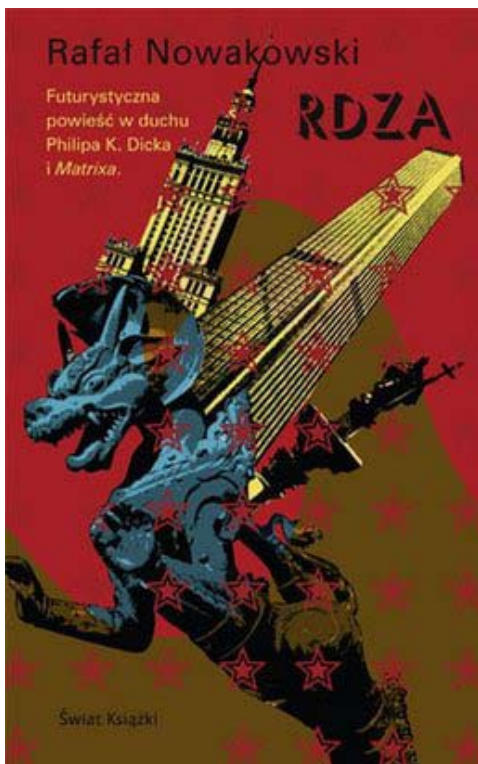
przeł. Wojciech Charchalis,

Wyd. W.A.B.,

Warszawa 2008.

Olga Byrska

Szkic do „Rdzy”



Na okładce książki czytamy: „Futurystyczna powieść w duchu Philipa K. Dicka i »Matrixa«”. Po lekturze „Rdzy” Rafała Nowakowskiego można powiedzieć, że z tego polecającego oraz zapowiadającego stylistykę powieści zdania prawdziwy jest tylko przymiotnik futurystyczna.

Mamy rok 2056. Warszawa to miasto, w którym mieszka więcej obcokrajowców, niż rodowitych Polaków. Rozmawia się tam przede wszystkim po angielsku, „domy” to nieco trwalsze od kartonowych, prowizoryczne mieszkania. Ciężko znaleźć legalną pracę. Miasto tonie w tumanach kurzu i niepotrzebnych, bioelektrycznych odpadach. W takiej

scenerii poznajemy głównego bohatera „Rdzy”, Adriana. To psychoterapeuta – specjalista od uzależnień. Dzięki swojemu fachowi dostaje zlecenie od chińskiego potentata wynalazków, górującego nad stolicą, pana Wanga, by znalazł jego syna, który odszedł do sekty, zwanej AmneZją.

Wyżej zarysowaną fabułę można podzielić na trzy części. Pierwsza, stanowiąca w książce połowę (czyli około stu czterdziestu stron), stanowi zarysowanie świata, w którym żyją bohaterowie. To posunięcie jest nieco niezrozumiałe, ponieważ na dobrą sprawę niczego w tym świecie nie wyjaśnia. Nie dowiadujemy się, dlaczego to właśnie Chińczycy „zalali” Warszawę, czemu zawdzięczamy wszechobecny chaos. Możemy snuć jedynie domysły. Drugą część stanowi poszukiwanie Kim-Ika Wanga, trzecią natomiast – rozwiązanie wszystkich wątków. I to właśnie ta ostatnia, trzecia partia tekstu jest najlepszą. Dlaczego?

Dwie pierwsze części, liczące *notabene* około dwustu pięćdziesięciu stron, zostały napisane bardzo nierówno. Większość „Rdzy” jest pretensjonalna, monologi oraz rozmowy sprawiają wrażenie wydumanych. Nowakowski nie potrafił zdecydować się, co wybrać: barokowo – Gombrowiczowską formę, przykładając wtedy mniejszą wagę do treści, czy dopracować z kolei fabułę, za cenę prostego, acz wyrazistego stylu. Brak tej decyzji zaowocował sytuacją, jaką opisał we wstępie do swojego „Życia Pi” Yann Martel – autor ma dobry pomysł na książkę i ludzi w niej, lecz całości brakuje iskry, która powoduje, że tekst po prostu żyje.

Te niefortunne dwieście pięćdziesiąt stron charakteryzuje również nieuporządkowanie. Akapity dobrej, mięsistej narracji przeplatają się z całymi stronami pretensjonalizmu i z gruntu błędnego opisywania sytuacji. Nowakowski zawdzięcza to, w mojej opinii, kilku błędnym wyborom – upodobał sobie na przykład przedrostek „pseudo”, natomiast

takie zbitki słowne, jak „futurogotycki apartamentowiec” czy „pseudoantyczny fotel” mógł ominąć, stosując peryfrazy. Zbędne nagromadzenie przymiotników nadało fabule wrażenie nie dynamizmu, lecz przeciwnie – ociężałości. Z kolei stosowanie słów „gdzieś”, „jakiś” w monologach dotyczących problematyki egzystencjalnej powoduje poczucie „rozmemłania” i tak dość słabo opisanych charakterologicznie bohaterów.

Ostatnie piętnaście stron o tyle różni się od reszty książki, że ten zamierzony dynamizm wreszcie widać. Całkiem niezłym pomysłem była również idea, by AmneZja grała życiem, a nie działała jako sekta – nadało to całości chociaż lekką nutę niebanalności. Prawdziwe słowa uznania należą się również za cały rozdział siódmy – historię opisaną w konwencji mitu, stanowiącą ważną rolę w odniesieniu do ciągu dalszego.

Po lekturze „Rdzy” Nowakowskiego mam wrażenie, że czytałam nie książkę, lecz dopiero jej szkic. Szkic naprawdę niezły jak na początek pracy nad powieścią. Jeżeli ma to być natomiast już skończona książka – mówię stanowcze nie.

*Rafał Nowakowski,
Rdza,
Wyd. Świat Książki,
Warszawa 2008.*

Anna Rau

Bez obaw – hormon nieszczęścia nie zagraża



Nowa powieść Danuty Noszczyńskiej zdaje się świetnie konkurować z kilkunastoma zalegającymi obecnie półki polskich księgarń – oraz kilkadziesiątoma z przeszłości – powieściami „o kobietach dla kobiet”. Ma chwytliwy tytuł, dużą czcionkę i przyjemnie kojarzy się z kilkoma tytułami, które ewidentnie zrobiły karierą czytelniczą. Ale zadziwiające jest i jednocześnie godne zastanowienia, dlaczego nawet sztamkowy schemat tworzenia „bestsellerów dla kobiet”, który zastosowała Noszczyńska (mówię to bez złośliwości), w tym przypadku się nie sprawdził? Wszystkie punkty zostały dopełnione: główna bohaterka jest młoda, sympatyczna i wyrazista, a do tego w opałach (cytuję: „ma parcie na chłopą”). Tytułowy hormon nieszczęścia to bynajmniej nie notoryczne pechowe przypadki owej bohaterki (choć również), nie jest to także jej nieuleczalna skłonność do czarnowidztwa czy wręcz depresji (choć również), ale owo „parcie na chłopą”.

Takie określenie całkowicie zdominowało okładkową rekomendację powieści Noszczyńskiej. Niestety nie wiem, kto popisał się takową wątpliwą reklamą, ale przypuszczam, że bardziej obytego tak literacko, jak i obyczajowo czytelnika w tym momencie lekko odrzuci od lektury książki o hormonach. Mnie odrzuciło. Oczywiście, jednocześnie trzeba przyznać, iż we frazie „parcie na chłopą” mieści się bardzo wiele, skądinąd (może?) pozytywnych konotacji: ludowość, ludyczność, Reymont, wesele, Sienkiewiczowska wola boża i tym podobne. Wracając do schematu powieściowego: główna bohaterka ma równie wyrazistą, sympatyczną oraz, w celu dodania pieprzyka akcji, całkowicie od siebie odmienną przyjaciółkę. Prócz tego w okolicach obu kobiet kręci się plejada mężczyzn – niestety płytko zarysowanych, gdyż potrzebnych fabule jedynie z pozycji wyżej wymienionego „parcia na chłopą”, mężczyzn. Jest też wredna ciotka, są bardzo „wiejscy” i dziewiętnastowieczni w mowie i uczynkach (czyli, jak się można domyślić, „śmieszni”) rodzice. I... porażka. Chyba za dużo grzybów w tym barszczu.

Mirka, narratorka historii, ma 23 lata i sposób myślenia stereotypowej „starej baby” – przepraszam za określenie, to tylko taka wygodna etykieta. Dziewczyna jest bardzo nieatrakcyjna i w związku z tym z całych sił stara się „być interesująca”, nic za to nie próbując robić z nieodmiennie dołączającą ją nieatrakcyjnością. Miewa za to, na przykład, regularne i sterowane (dzięki wizytom u hipnotyzera) wizje swego poprzedniego wcielenia, kiedy to była średniowieczną (niezwykle piękną) panną na wydaniu i jako Mirucha (gdyż tak autentycznie ma na imię każde wcielenie głównej bohaterki – wdzięczny spadek po woli ciotki) z wzajemnością zakochana w Taiszu, młodzieńcu na wskroś romantycznym, o duszy wolnej i dumnej jak tatrzański harnaś. Rodzina Miruchy za to naciska, aby oddała swój wianek obmierzłemu jej Żegostowi. Akcja koncentruje się wokół kolejnych seansów Miruchy, po których próbuje odpowiedzieć sobie na pytanie, kim w

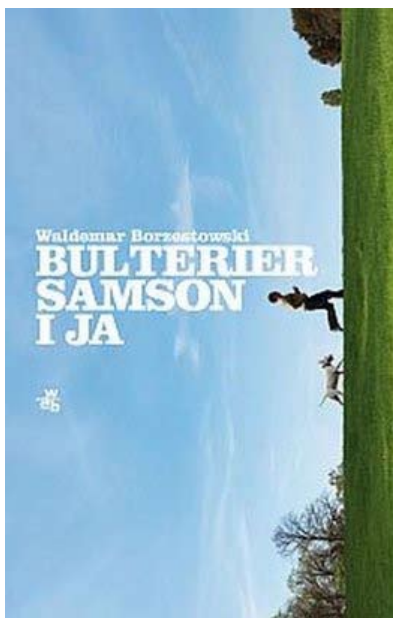
końcu jest: średniowieczną dzierlatką czy dwudziestowieczną frustratką zdominowaną kompleksem ciotki Abeloizy. Takie pomieszanie skrzywionego realizmu magicznego, klimatów piłsudczykowskich (dworek, wyskubane brwi, wyższe sfery, ę-ą przy herbatce) oraz prząsnego dowcipu sytuacyjno-werbalnego to ciężkostrawna mieszanka. Mirucha bardzo chce oddać wianek w którejkolwiek z epok (dzięki kolejnemu seansowi hipnozy ląduje w końcu w 2007 roku, ale – uwaga! – w alternatywnej wersji „socjalistycznej” – pod rządami Pierwszego i Drugiego Sekretarza Socjalistycznej Rzeczypospolitej Polskiej, Mirosława i Rocha Bączyńskich. Trochę znajome klimaty.. – ale to niestety nie jest śmieszne.). W tej rzeczywistości główna bohaterka nazywa się Maria, jej przyjaciółka to... – czyżby malarz Gustaw Borutek? Rzeczywistość alternatywna bywa zaskakująca. Dzięki Bogu Maria staje się znowu Miruchą i w XXI wieku odnajduje swego Taisza, oddaje wianek, a jednocześnie rozwiązuje swym życiem legendarną klątwę i zwycięża nad parciem...
Warto czytać?

Na okładce powieści jak zwykle zamieszczono rekomendacje książki i – jak zwykle – bez pokrycia: „Hormon nieszczęścia” niestety nie ma zbyt wiele wspólnego z Chmielewską czy z Grocholą. Ale to jeszcze nic: tak naprawdę wydawnictwu chciałoby się rzec coś do słuchu za beznadziejną okładkę powieści: biało-czerwona ze stadem zagubionych na rogu serduszek przypomina kiczowatą kartkę na Walentynki.

*Danuta Noszczyńska,
Hormon nieszczęścia,
Wyd. Philip Wilson,
Warszawa 2008.*

Urszula Pawlicka

Jesteś samotny? Szukasz wrażeń? Kup bulteriera od zaraz!



Za górami, za lasami żył sobie dojrzały czterdziestoletni mężczyzna o imieniu Dawid. Jego życie było wprost pasjonujące: codziennie spał do południa, budził się w rytmie paraliżującej muzyki techno, następnie, biedaczek, musiał odcierpieć gigantyczny ból głowy zwany syndromem dnia poprzedniego. Gdy po wielu trudach dochodził do siebie, udawał się do kochanej mamusi, która cierpliwie czekała na niego z wyśmienitym obiadem i kieszonkowym, leżącym na serwetce tuż przy miseczce z jego ulubionymi, deserowymi ciasteczkami. Dawid był bardzo szczęśliwy, zdawałoby się, że nie brakuje mu niczego. Miał żonę, z którą się rozwiódł, i córkę, o kontakt z którą wcale nie dbał. Pewnego dnia dostał od sąsiadów pięknego, białego pieska bulterierka.

Opiekowanie się nim było nie lada wyzwaniem! Od tej pory rytm dnia wyznaczało trzy razy siku i jedna kupka wydalana przez Samsona. Piesek dokonał rewolucji w jego życiu. Na drodze nieśmiałego Dawida pojawiły się urocze kobiety. Pociągały go zmysłowością i kobiecością. Niejednej złamał serce, ale i on, dojrzały Casanova dał się uwieść niewłaściwej partnerce. Sercowe rozterki rozwiązał stanowczo jak na dojrzałego mężczyznę przystało: porwał Samsona i razem uciekli do Hiszpanii. Pewnego dnia poznał prześlicznego anioła, a na imię jej było Inez. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Razem wrócili do Polski i wieści głoszą, że żyją razem długo i szczęśliwie.

Streszczenie fabuły książki „Bulterier Samson i ja” mogłabym równie dobrze napisać stylizując się na język harlequinów lub na styl głupawej amerykańskiej komedii familijnej. Mogłaby to być także parodia prozy obyczajowej o dojrzałym (w tym przypadku słowo o brzmieniu sarkastycznym) mężczyźnie po przejściach. Obojętnie jakiego użyłabym języka, ze streszczenia kipi ironia, bowiem nie sposób jest powstrzymać się przed śmiechem czytając książkę Waldemara Borzestowskiego.

Są jednak różne rodzaje śmiechu: zabawny, serdeczny, cyniczny czy pogardliwy. Tej lekturze towarzyszy śmiech pożałowania. Czterdziestoletni mężczyzna drażni swą niedojrzałością. Nieodpowiedzialny tata szesnastoletniej córki (w ciągu 16 lat nie stworzył trwałych więzi) i eks-mąż, cierpliwie i bez emocji znosi burzliwe romanse byłej żony. Czterdziestolatek bez stałej pracy, utrzymujący się z kieszonkowego mamy – czy może być coś bardziej żalnego? Jego zawód to bezczynność, idealny – używając angielskiego określenia – *couch potato*. Każdy dzień przeslizguje się między palcami. Minionych lat nie można zwrócić jak pustej butelki po piwie. W nim jednak nie ma skruchy czy żalu. Jest to postać, która śmierdzi nijakością. W jego rozmamłane życie nie chciałoby się mieszać. To typowy mężczyzna „39 i pół”, który nie jest już dzieckiem (przyjmując za miarę wiek), ale nie jest jeszcze mężczyzną (uznając dojrzałość psychiczną za

przekroczenie granicy). Jemu dobrze jest tkwić w nijakim życiu, w którym piwo zawsze jest zimne, a zupka u mamusi gorąca. Najprościej jest uciekać od odpowiedzialności i zaangażowania. Samotność nie wymaga poświęceń. Jego życie przypomina mdły serek homogenizowany, wygodnie jest mu egzystować, bowiem nie napotyka żadnych grudek, które należy usunąć. Jedyne pytanie, jakie spędza mu sen z powiek dotyczy możliwości zaspokojenia potrzeb seksualnych.

„Czy bulterier może być lekiem na utrapienia wieku średniego?” pytanie umieszczone na okładce książki już naświetla literaturę niskiego lotu. Fabuła emanuje infantylnością. Jest zbyt słaba intelektualnie, ale równocześnie zbyt ciężka, aby przejść bezboleśnie przez banalny wątek o czterdziestoletnim nieudaczniku, który potrzebuje psa, aby zmienić swoje mało ciekawe życie. Czytelnik jest zatem świadkiem przeobrażania się (brzmi to nazbyt wyolbrzymiająco) jego życia. Dawid zaczyna udzielać się towarzysko. Na forach internetowych poznaje kobiety, z którymi łączy go miłość do bulterierów. Los daje mu szansę, aby na nowo poznać swoją córkę. Polepsza również kontakty z byłą żoną. Wszystko dzięki czworonożnemu przyjacielowi, którego traktuje niemal jak rodzony syna (z początkowych partii tekstu można by wysnuć przerażający wniosek: pies był dla niego ważniejszy niż córka!).

Mężczyzna bez ambicji i pasji skazany na egzystencjalne spleśnienie. Nagle ze stagnacji wyrwał go bulterier, który – jak sygnalizuje wydawnictwo – ma zmienić mężczyznę w silnego i zdecydowanego. Pytam zatem, w którym momencie jestem świadkiem tak ogromnej przemiany? Kwestia dorastania czterdziestolatka do czterdziestoletniego wieku (wyrażenie *idem per idem* jest podsumowaniem banalnej fabuły) miała nadać książce poważnego brzemienia i jednocześnie przypisać jej cechy literatury inicjacyjnej. Niestety na zamiarach się skończyło. Autorskie plany przybrały formę śmiesznej anegdotki o nieudaczniku, który ulegając metamorfozie zmienia się w gangstera (ten „zawód” budził w nim szacunek i respekt, a więc stał się idolem dla samego siebie). Namiastką

zmężnienia jest stanowczość, która ujawnia się w momencie kiedy bohater porywa psa i wyjeżdża do Hiszpanii. Życie się z bulterierem nie pozwala mu na dobrowolne oddanie go właścicielom. Motyw porwania został uznany przez autora za znak dojrzałości. Bezradny mężczyzna ponownie ucieka, ponieważ nie wie, co zrobić, aby zatrzymać przy sobie Samsona. Ucieczka nie jest formą walki, a tak właśnie zostało nazwane jego zachowanie, ani dowodem męskości. Jest niczym innym jak wyrazem bezradności i strachu. Bohater boi się, że moment odebrania psa będzie równoważny z powrotem jałowego życia. Dawid zatem „walczy” z potencjonalną depresją, która mogłaby go dopaść, a którą nie wyleczyłyby żadne piwa za mamusi pieniądze.

W Hiszpanii zatem jesteśmy świadkiem narodzin nowej miłości, która jak można wywnioskować, ma zapowiadać trwałe uczucie do końca życia. Sentymentalne zakończenie zdaje się być wyrwane z kontekstu. Przeciętny czterdziestolatek ni stąd, ni zowąd znajduje się w ciepłym kraju, zakochuje się w Hiszpance i jak gdyby nigdy nic, wraca z nią do kraju. Przesłodzony i zbyt wyidealizowany wątek na szczęście szybko się kończy, ale pozostaje nierozwiązany problem dotyczący porwania bulteriera. Kwestia ta zostaje przerwana dla dobra czytelnika, który zamroczony idealną miłością, ma wierzyć, że żyli długo i szczęśliwie. Na nieszczęście autora są też i tacy czytelnicy, którzy do przysłowiowego kłębka idą po nitce.

„Bulterier Samoson i ja” to literatura przeznaczona dla mało wymagających czytelników. Obserwujemy świat zatruty jałowością, przesiąknięty bezsensownością życia. Każdy bohater to antybohater, poszukujący swego miejsca w świecie. Jedynym kołem ratunku okazuje się pies, na którego opisy autor poświęcił wiele miejsca. Dowiadujemy się, że buliki lubią wspólne spacerowanie i spanie w łóżku. Lubią czuć bez przerwy obecność i ciepło właściciela, bowiem nie widzą poza nim świata. Zawsze jest czujny, gotów w każdej chwili bronić pana przed każdym, kto podejdzie zbyt blisko. Opisy zalet bulterierów są niemal jak reklama zachęcająca do ich zakupów. Fragmenty te spowalniają akcję, która i tak momentami ulega

hibernacji. Z głównego wątku rozwidlają się wątki poboczne, puste, które nie wnoszą niczego i nie wpływają na bieg sprawy. AIDS, choroby psychiczne, nielegalne walki psów są tematami poważnymi, dyskusyjnymi, prowokującymi rozważania natury moralnej. To wątki odpowiednie dla literatury zaangażowanej, poruszającej problemy społeczne, a ta proza do niej nie należy. Tematy poważne zostały wrzucone do jednego worka z banalnością i schematyzmem: młody tatuś, który wpadł przy pierwszym razie, pozostawia dziecko matce; rozwodnik, pełniący rolę weekendowego tatusia; poznanie kobiety przez Internet lub na spacerze z psem (ich pieski również się pokochały) i zakończenie – *happy end*, które usypia odbiorcę. Do wspomnianego worka włożyć można także język potoczny, próbujący w tym wypadku błyszczeć sentencjonalnością.

Niskobudżetowe filmy z amerykańskim humorem upodobały sobie psy. Jednych irytuje widok mówiącego zwierzęcia, drugich bawi do łez oglądanie psa za kratkami. Upersonifikowane zwierzaki przeważnie pełnią rolę literackiego motywu sokoła, przemieniając życie bohaterów. Są to filmy pozbawione ambicji i wyszukanej fabuły, przeznaczone raczej do rodzinnego oglądania w niedzielne popołudnie. Książka Borzestowskiego nie zachwyca tematyką, przypomina scenariusz niejednego filmu o czworonożnych bohaterach. Brakuje tylko, aby pies zaczął mówić i spuszczać po sobie wodę w toalecie, bowiem naukę oddawania moczu do sedesu miał już za sobą...

Waldemar Borzestowski,

Bulterier Samson i ja,

Wyd. W.A.B.,

Warszawa 2008.

Marta Skłodowska

Inna pamięć gwiazd w ogrodzie



Na okładce książki „Inna pamięć” Joanny Lustyk umieszczono notę polecającą, która sugeruje, że będzie to opowieść o różnicach pomiędzy postrzeganiem tej samej rzeczywistości przez kobiety i przez mężczyzn. Tymczasem jeśli na taką lekturę nastawi się czytelnik, mocno się zawiedzie. Nie ma tu bowiem żadnych porównań, analiz czy wywodów. To po prostu zwykła opowieść o Polce szukającej szczęścia zagranicą, w tym wypadku w Stanach Zjednoczonych. Do czego wobec tego odnosi się ów opis na okładce? Ano, jest on jedynie zmyślną formą reklamy, nic nadto. Nijak ma się tytuł tej książki do jej treści. Pomijając jednak ów fakt – mamy do czynienia z całkiem przyjemną w odbiorze, tzw. lekką beletrystyką.

Główną postacią, narratorką i bohaterką jest Sabina, która mieszka w Ameryce. Akcja rozpoczyna się, gdy

kobieta próbuje dotrzeć do swojego kochanka – Kevina, aby powiedzieć mu, że jest z nim w ciąży. Podróżuje dzięki uprzejmości innego mężczyzny – Maksa, który wybiera się do galerii w Atlancie. Dialogi prowadzone w trakcie tej samochodowej wyprawy przeplatane są retrospekcjami. Bohaterka opowiada historię swego wyjazdu do USA: miała przyjechać do schorowanej ciotki, która jednak wylądowała na długo w szpitalu. Sabinie pomogli polscy emigranci, tyle że została okradziona niemal ze wszystkiego w noclegowni, do której ją zabrali. Dalej opowieść rozwija się w barwny opis tułaczki kobiety po Chicago. Bohaterka opowiada o środowisku polskiej emigracji, przedstawia jego dobre i złe strony. Bohaterka raz jest szczęśliwa, kiedy indziej ma pecha. Najbardziej wyraziste w tej plejadzie postaci jest polskie małżeństwo, z wujkiem Leonem na czele, zawsze gotowe pomóc Sabinie. Retrospekcje przeplatają się, chronologia zostaje zupełnie zaburzona i niekiedy można się, niestety, pogubić. Sabina wspomina ciążę w wieku 17 lat, swego pierwszego chłopaka i co zdarzyło się, gdy urodził się jej syn – Marcin, dziś dorastający chłopak, którego zostawiła w Polsce. Dalej historia uzupełniona jest opowieścią o tym, jak bohaterka poznaje amerykańskiego biznesmena Kevina. Po krótkim romansie on wraca do swojej rodziny w Nowym Jorku, a Sabina zostaje w Chicago, zakochana i samotna. Jest ciągle niezdecydowana, miota się między kolejnymi mężczyznami, miastami, między Polską a Ameryką. Ma coraz to nowe pomysły na swoją przyszłość, szuka odpowiedniego partnera, który mógłby jej pomoc osiągnąć zamierzony cel.

Ważną postacią jest wspomniany już wcześniej Maks, który przewija się przez całą powieść, towarzyszy głównej bohaterce. Zostaje przeciwstawiony Sabinie. Mężczyzna jest malarzem, cichym, spokojnym i uczciwym człowiekiem, który szuka swego miejsca na ziemi, pragnie szczęścia i możliwości wykonywania swego zawodu. Jednak niezdecydowana i nieco porywczą Sabina znacznie mu to utrudnia. Czy i gdzie znajdą cel swej podróży i czy zakończą ją razem, nie zdradzę. Ciekawą postacią jest Kevin – kochanek Sabiny. Nie powieła stereotypu bogatego biznesmena. Nie jest ani wyjątkowo altruistyczny i szaleńczo w Sabinie zakochany, ani też wyrachowany i zimny. Próbuje, tak samo jak pozostali bohaterowie książki, odnaleźć się w nowej sytuacji, nie krzywdząc ani swej żony i dzieci, ani

Sabiny, na której przecież jednak mu zależy. Jest mężczyzną, który nie uchyla się od odpowiedzialności i stara się problem możliwie sensownie rozwiązać, a nie jak najszybciej usunąć ze swojego życia.

Lektura „Innej pamięci” jest wciągająca. To przyjemna powieść z wartką akcją, jednak ewidentnie z pogranicza *harlequina*. „Inna pamięć” nie niesie ze sobą, co oczywiste, wielkich przesłań. Lustyk nie moralizuje, ani nie przymyka oczu na potknięcia i głupotę. Ocenę bohaterów autorka pozostawia czytelnikowi, który wedle własnego sumienia winien wydać wyrok. To opisana codzienność – mniej lub bardziej szara – jest największym atutem książki. Odwaga Sabiny, jej zawziętość i zdolność ciągłego parcia do przodu czyni i książkę, i tę postać interesującą.

*Joanna Lustyk,
Inna pamięć,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2008.*

film

Aleksandra Mielniczek

Mroczny rycerz jest w każdym z nas



Ostatnimi laty szczególnie nadużywa się pojęcia „kultowy”. Kultura masowa sprzyja popularyzacji twórców sztuki, dzięki czemu stają się one szalenie popularne, czyli właśnie kultowe. Prócz popularności mile widziana jest też oryginalność, międzypokoleniowość (wyznawcy „kultu” w różnym wieku i istniejący już od kilkudziesięciu lat dobrze świadczą o uniwersalności produktu kultowego) oraz totalna kiczowatość.

Oczywiście kultowe może być wszystko. To odbiorcy-konsumenci decydują o tym co lub kto otrzyma to zaszczytne miano. Wachlarz możliwości jest bardzo szeroki: od tenisówek po okulary przeciwsłoneczne, od Jamesa Deana,

poprzez Audrey Hepburn aż do Merlin Monroe, od Alfreda Hitchcocka do Quentina Tarantino. Produkt lub osoba uznana raz za „kultową” rzadko kiedy traci to miano. Warto też pamiętać, że kultowy równa się też dochodowy. Gwiazdy i bestsellery popkultury stają się matrycami i klinami, w które można wtłoczyć dosłownie wszystko. Poza swoistym urokiem nie reprezentują zwykle żadnej artystycznej wartości.

Jak napisałam, kultów jest wiele, ale komiksy w ostatniej dekadzie wyrosły na prawdziwych królów popkultury. Czy jest coś bardziej popularnego od żółto-niebieskiego znaku Supermana czy czerwono-granatowej pajęczyny Spidermana? Wyobraźnią dzieci i młodzieży rządzą superbohaterowie. Batman ma fanów, którzy nawet nie mogą przeczytać o nim komiksu, ale obejrzeć którąś z licznych adaptacji filmowych już owszem. Zahipnotyzowane muskularną postawą bohatera rzesze kilku- i kilkunastoletków codziennie drogą prostego szantażu emocjonalnego wymuszają na swych rodzicielach zakup koszulek, spodenek, majteczek, gumeczek, piórników, mydełek, pościeli, szczoteczek do zębów a nawet płynów do kąpieli ozdobionych motywami ich ulubionych komiksowych postaci. Kultowy-dochodowy komiks to, oprócz wyżej wymienionych dóbr materialnych, również świetna inspiracja dzieł filmowych. Hollywood jest prawdziwym źródłem niedopływowej rzeki produktów kultowych. Wypłynięcie nowego dzieła zawsze przepowiadają różne znaki na niebie i ziemi wieszczące nadejście (ewentualnie powrót) superbohatera na kinowe ekrany. W tym roku już nawet nie plakaty czy zapowiedzi poprzedzały film, lecz właśnie owe mydełka, koszulki i zeszyty w rączkach naszych milusińskich.

„Mroczny rycerz” był wyjątkowy zanim się jeszcze pojawił. Samobójstwo Heatha Ledgera grającego w tym filmie Jokera nieodwracalnie zmieniło odbiór obrazu. W popkulturze już tak jest, że wszystko jest własnością publiczną. Tak samo jak kreacja aktora na ekranie obchodzi nas jego życie osobiste.

Często bywa tak, że ten drugi aspekt jest dla odbiorcy znacznie ciekawszy niż pierwszy. I tak, idąc na „Mrocznego rycerza” widz już miał zakodowane głęboko współczucie dla Jokera – szaleńca w fioletowym garniturze. Od razu było wiadomo, że cokolwiek zrobiłby Batman, to Joker jest tu prawdziwym bohaterem. Widzowie świetnie wyczuwają takie rzeczy.

W warstwie fabularnej film ten jest po części początkiem, a po części końcem historii o księciu kultury masowej. Początek to gdyż tu właśnie zobaczyć możemy pierwszy występ antagonistycznego duetu Batman-Joker. Szaleniec z szerokim uśmiechem pojawia się w Gotham City w momencie, gdy zmęczony mroczny Bruce myśli już o odejściu na emeryturę, czy też stosowniej - o usunięciu się w mrok. Sugeruje to zatem koniec nietoperzowej sagi. Upatrzył sobie już stosowny substytut samego siebie, ale niestety... Kilka scen walki i pościgu, parę smętnych dialogów o byciu ponad prawem i już, zamiast bohatera, mamy degenerata o spalonej połowie twarzy, a Batman znów zostaje sam na placu boju, z tą różnicą, że od teraz będzie miał o jednego pomyłonego przestępcę więcej do ścigania. W nieładzie następujących po sobie scen stoją na przeciwko sobie śmieszny, sztywny, nadąsany i mówiący tubalnym głosem Batman oraz błazen, z którego jednak nikt się nie śmieje. Joker rozsadza budynki, samochody, łodzie, ale również i ekran. Jego hipnotyczny urok nie bierze się jednak z dobrze napisanego scenariusza, w którym jest maniakiem-anarchistą przeprowadzającym eksperymenty na ludzkich uczuciach, po których zostają tylko dwie rzeczy – smażące się, rozczłonkowane ciała i gorzka teza, że w głębi wszyscy ludzie są źli, bo taka jest ich prawdziwa natura. To już raczej ograny pomysł, który widzieliśmy o parę razy za dużo na kinowym ekranie. Prawda jest taka, że nie Jokera, a Heatha Ledgera poszliśmy sobie do kina pooglądać. Pokusa obejrzenia na ekranie jeszcze żyjącego gwiazdora, w dodatku takiego, który w tempie ekspresowym wyrastał na pierwszego amanta światowego

kina, jest nie do odparcia dla przeciętnego konsumenta kultury masowej. Prócz śmierci, również zestawienie ze swym poprzednikiem, „dopomogło” Heathowi Ledgerowi w zelektryzowaniu widowni. Najlepszy Joker do tej pory – Jack Nicholson, stanowi zupełne przeciwieństwo Jokera obecnie panującego. Jego rubaszny uśmiezek i chłopięce figle wzbudzały jedynie żartobliwy uśmiezek na twarzach widzów. Mimo iż Nicholson jest aktorem wybitnym, to jego Joker do Jokera Heatha Ledgera ma się jak psotna, chrumkająca, ustrojona kokardkami świnka do białego, rasowego, acz zaniedbanego konia o smętnym spojrzeniu. Wcześniejsze role i nadchodząca życiowa tragedia wyłazą bokami ze smutnego błazna. Jak bowiem nie współczuć tragicznie zakochanemu gejowi z „Tajemnicy Brokeback Mountain”? Jak śmiać się ze staczającego się narkomana z „Candy” czy z chłopaka strzelającego sobie w głowę z miłości do ojca w „Czekając na wyrok”? Kultura masowa i jej odbiorca odwołują się do tak prymitywnych instynktów, że nie można oddzielić od siebie warstw, które przecież zawsze powinny być rozdzielone. To Joker jest prawdziwym mrocznym rycerzem tego filmu.

Twórcy filmy pogłębili jego charakter jeszcze czymś, oprócz wyboru aktora. Jest w tym obrazie jedna scena, jedna wypowiedź, która niczym gruba czarna kreska stanowi ostateczne wykończenie postaci Jokera, na które czekał przez wiele lat w wielu adaptacjach. W scenie tej nasz mroczny bohater opowiada skąd blizny, tak malowniczo poszerzające jego uśmiech. To pijany ojciec potraktował tak małego jeszcze chłopca, robiąc z niego psychopatę. Rysunkiem uśmiechu ojciec na zawsze pozbawił go powagi. „Why so serious?!” wrzeszczy z ekranu Joker i brzmi to bardzo tragicznie.

Wewnętrzny zamęt tej postaci to jedyne, co robi wrażenie w tym filmie. Zapowiedź – umowa między Batmanem a Jokerem, że ścierać się będą już zawsze, to bardzo przyjemna obietnica dla widza. Inne aspekty tej opowieści sprawiają wrażenie sztucznie nadmuchanego tła. Mieszkańcy Gotham

City to po prostu bezwolni idioci, którzy nie umieją się sami obronić i potrzebują do tego Batmana, a jednocześnie chcą owego Batmana schwytać, osądzić i ukarać, gdyż zbyt mocno przestępców karał, a przecież nikt nie jest ponad prawem. Bardzo to irytujące. Ukochana Bruce'a ma na ekranie jakąś rację bytu też raczej jako Maggie Gyllenhaal niż postać sama w sobie. Ta bardzo zdolna aktorka zapewne nie przez przypadek wybrana została do tego filmu. Tak się składa, że jest też siostrą (bliźniaczo podobną siostrą) Jake'a Gyllenhaala, który grał partnera Heatha Ledgera w „Tajemnicy Brokeback Mountain”. Widok tej dwójki na przeciw siebie znów wywołuje mieszane uczucia.

Na koniec jeszcze moja propozycja odpowiedzi na odwieczne pytanie „Jak kulturę masową wykorzystać do wyższych celów?”. Otóż twory takie jak „Mroczny rycerz” ratuje psychoanaliza, która miała zapewne wielki wpływ na powstanie tego filmu, innych tego typu filmów i komiksów. Świetną zabawą i ćwiczeniem dla wyobraźni jest rozczepianie siebie na ekranie i obserwowanie jak poczciwe – dobrotliwe superego (tu reprezentowane przez opiekuńczego kamerdynera i kochającą dziewczynę) zostanie zmiażdżone przez siły pierwotnego zła id czyli właśnie Jokera i jego barwnych klonów w poszczególnych częściach serii. Analiza psychologiczna ratuje ze śmieszności superbohaterów w błyszczących trykotach czyniąc z komiksu uniwersalną przypowieść o ludzkiej duszy.

*Mroczny rycerz ,
reż. Christopher Nolan,
USA 2008.*

proza

Podróż

Reflektory co rusz przygasały, silnik charczał i krztusił się zwiększonym dopływem paliwa. Płatki śniegu, wirując zawzięcie, osiadały na szybie formując po bokach zbite fałdy. Wycieraczki słabły. Adam przełączył światła na postojowe i jechał wolniutko usiłując dojrzeć w szalejącej zamieci zarys drogi. Światła wciąż denerwująco mrugały gasnąc i zapalając się w równych odstępach czasu.

Leżąca na tylnym siedzeniu Kasia obudziła się i łkała przestraszona zapadającą wewnątrz auta ciemnością.

-Co się dzieje? – Ewa pochyliła się w jego stronę obserwując z niepokojem migające wskaźniki na tablicy rozdzielczej.

-Nie wiem. Chyba zboczyliśmy z drogi.

Adam zdjął nogę z gazu w chwili, gdy mijali tablicę z nazwą miejscowości. „Małe Biesagi” – odczytał ledwo widoczny napis.

Wiatr miotał tumany śniegu. Walił drobnymi grudkami w drzwi i dach, Wgryzał się w podwozie. W oddali zamajaczyła ciemniejsza plama drzew z tańczącą między pniami iskierką nikłego światła.

-Tam! – krzyknęła Ewa.

Z nosem przyklejonym do szyby Adam modlił się by chociaż dojechać do wsi. Tylko tam mógłby liczyć na pomoc. W chwili gdy wjeżdżał w zalesiony odcinek wcisnął mocniej pedał i włączył na chwilę długie światła. Samochodem zarzuciło, stawiając go w poprzek. Skontrował. Koła złapały przyczepność i auto niespodziewanie wyrwało do przodu.

Silnik wył na najwyższych obrotach.

-Mamo! – zawołała Kasia.

Nagle pogasły wszystkie światła i jednocześnie Adam wyczuł pod stopą, że pedał zapadł się jeszcze niżej. W ułamku sekundy zrozumiał, że nie zdoła opanować samochodu. Silnik wył, a oni najpierw otarli się o jakąś zmarzniętą zaspę, a potem zakręciło nimi jakby ktoś ich wcisnął do twistera. Adam stracił już orientację. Koła buksowały w miejscu i nie pomagały nawet rozpaczliwe ruchy kierownicą by zatrzymać tę karuzelę. Zachrząścił wgniecany metal i samochód niebezpiecznie przechyliło na prawą stronę. Zgasł silnik. W ciszy, jaka na sekundę zaległa, samochód, trąc karoserią o pień drzewa, staczał się tyłem po ośnieżonym stoku.

Ewa krzyknęła i chwyciła na ręce szlochającą Kasię. Adam odruchowo pochylił głowę i zacisnął mocno dłonie na kierownicy. Samochód z rozpędem walnął w zalegającą na dole zaspę i wbił się w nią aż do połowy bagażnika. Odetchnęli z ulgą. Nikomu nic się nie stało. Obrócił się w stronę żony i wyciągnął rękę by dotknąć uspokajającym gestem głowy córki. W ostatniej chwili ręka mu zadrżała. Z oddali dobiegły przytłumione dźwięki bicia w dzwony.

* * *

W samochodzie z każdą chwilą robiło się coraz zimniej. Ogrzewanie nie działało.

-Trzeba coś zrobić – powiedziała Ewa tuląc w ramionach Kasię.

-Tak – odpowiedział Adam szeptem. W zamyśleniu potarł kciukiem podbródek. – Zaraz pójde po pomoc.

Gdy wysiadał, śnieg zatańczył przy otwartych drzwiach i gęstą chmurą wdarł się do środka.

Adam wtulił głowę w ramiona, postawił kołnierz kurtki. Wiatr zawodził, jęcząc wśród drzew. Bezustannie smagał go

po twarzy lodowym śrutem.

Na drodze zamieć była jeszcze większa i prawie nie widział światła, ku któremu się kierował. Po obu stronach drogi skrzący się śnieg formował w powietrzu fantastyczne i niesamowite postaci.

Gdy wyszedł z lasu jego oczom ukazał się niewielki kościółek z przycupniętą tuż obok wiejską chatą. W jednym z okien jarzyło się jaskrawoczerwone światło.

Skulony, ominął wzrokiem górującą w śnieżnej poświacie wieżyczkę kościoła i stanął w drzwiach. Gdy zapukał wydało mu się, że z zakrystii kościoła ktoś wybiegł. Wstrząsnął nim dreszcz. Zapukał ponownie, a gdy nikt nadal nie otwierał nacisnął klamkę i wszedł do środka. Znalazł się w wiatrołapie plebanii. Teraz już bez pukania otworzył następne drzwi i otrzepał buty ze śniegu. Wiatr jakby ucichł. W przedpokoju było ciemno. Zmrużył oczy i w wąskim korytarzu dostrzegł kolejne drzwi.

-Halo! – zawołał. – Niech będzie pochwalony...

Usłyszał jakiś ruch za drzwiami przed sobą, ale poza tym panowała niczym niezmacona cisza. Zaniepokojony zawołał jeszcze raz :

-Halo ! Jest tu kto ?

Żadnej odpowiedzi. Uchylił lekko drzwi i stojąc jeszcze w progu wsunął rękę w poszukiwaniu kontaktu. Wcisnął przycisk, ale światło się nie zapaliło. Zaskoczony spojrzał w górę, na sufit i w tym momencie uświadomił sobie, że już nie może cofnąć ręki. Na jego dłoni spoczęła leniwym ruchem inna, obca dłoń. Zimna. Jakby ktoś dopiero co wrócił z podwórza lub znad jeziora, gdzie w naprędce wykutej przerębli mieszał palcami potłuczony lód. Wstrzymał oddech i zamknął oczy.

Gdy je otworzył, w kącie pokoju rozjarzył się trójkąt zbudowany z małych lampek choinkowych. Światło trójkąta

raziło oczy, nie na tyle jednak, żeby nie dostrzegł pośrodku małej postaci z kapturem naciągniętym na głowę. Postać powoli wstała z klęczek i skierowała się w jego stronę. Usiłował oderwać rękę od ściany lecz czuł zarówno w niej, jak i w całym ciele, rozlewające się do wszystkich zakątków obezwładniające mrowienie. Postać w kapturze stanęła przed Adamem i uczyniła znak krzyża, ale był on jakiś inny, jakby odwrócony do góry nogami lub rysowany dłonią wyrośniętą bezpośrednio z tułowia. Następnie, idąc wzrokiem za palcem, którego końcówka ledwo wystawała z rękawa, usiłował spojrzeć na widok za oknem. Kątem oka dostrzegł dziwną procesję, a właściwie tylko odblask wielkich świec, jakby światło wędrowało samo. „Przecież to niemożliwe” – pomyślał o zamieci i śniegu wirującym na dworze. Dotarła do niego cała absurdalność sytuacji. Coś mu się przywidziało lub dopiero teraz zaczynał ponosić konsekwencję szoku. Rozejrzał się przytomnym wzrokiem po pokoju. Był pusty. Nikogo w nim nie było. Żadnego trójkąta, ani zakapturzonego karła. Zaklął głośno. Energicznie potarł skronie. I w tym momencie usłyszał krzyk. Najpierw jeden – przesiąknięty paniczną rozpaczą, przeciągły aż do ochrypłego kaszlu krzyk kobiety, a potem drugi – zszokowany krzyk dziecka. Rzucił się do wyjścia i wybiegł na drogę. Wiatr chlusnął mu w oczy marznącymi kropelkami lodu. Pośliznął się i upadł, boleśnie wykręcając kostkę, ale zaraz podniósł się i kuśtykając biegł w kierunku pozostawionego w lesie auta. Zdawało mu się, że dostrzega, pośród śnieżnej kurzawy, migotliwe ogniki świec. Przyśpieszył.

* * *

Śnieżycy jeszcze bardziej się wzmogła. Ze zdumieniem przecierał twarz widząc stojący już na drodze samochód połączony łańcuchem z traktorem pracującym na wolnych

obrotach. Podbiegł i szarpnął tylne drzwi. W środku nie było nikogo. Już chciał biec na dół, po stoku, gdy zatrzymał go, nad wyraz spokojny, głos Ewy stojącej gdzieś w pobliżu w ciemnościach.

-Adam...

-O matko ! – odbił się plecami od auta, otworzył szeroko ramiona i ruszył w jej stronę. – Jak to dobrze, że nic się wam nie stało !

Ewa jednak ominęła jego ramiona i w milczeniu, przyciskając dziecko do piersi, wsiadła do samochodu. Rzucił okiem na traktor. W kabinie tkwiła ciemna postać kierowcy, który machnął ręką dając mu znak, że rusza. Adam usiadł z westchnieniem ulgi za kierownicą. Ciągnik ruszył.

-Jak to się stało, że trafiłaś na tego traktorzystę?

Spojrzał w lusterko, ale w odbiciu nie dojrzał twarzy żony.

-Ewa! – zawołał.

Dobiegło go jedynie ciche westchnienie. Uspokojony skierował spojrzenie na przednią szybę. Drgnął i gwałtownie przechylił na bok jakby jakiś zimny palec dźgnął go niespodziewanie między żebra.

-O cholera! Nie! My nie możemy tam wracać! Ewa! – krzychał wałąc pięściami w kierownicę.

Wcisnął hamulce, ale na nic się to zdało, Samochód wpadł w koleiny i toczył za traktorem. Adam odkręcił szybę i wrzasnął:

-Hej! Zatrzymaj się! Słyszysz!?

Zgięty za kierownicą kształt nawet się nie poruszył. Wyjeżdżali już z lasu. Biły dzwony.

W lusterku nad przednią szybą wciąż przechadzała się jedynie ciemność.



Waldemar Tychek – pracuje w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie. Interesuje się literaturą ze wszystkich półek i regałów. Zamiast wędrować po górach wychodzi z psem na spacer. Czasami nie może czytać i wtedy właśnie dopada go gniew.